

## CZAS CESARZA

Cesarz siedział jak zwykle co ranka i patrzył na wyspę, pływającą w dali na morskiej zatoce. Tak czynił od z górą pół wieku; był już starym człowiekiem. Był bardzo piękny, chłodny dzień zimowy — szron i dzwoneczki. Zatoka leżała skuta lodem, który rozciągał się niemal aż do wyspy — ale gdy wzięło się lunetę (dokładnie nastawiona luneta stała zmontowana na statywie przed oknem obok niego), widać było, że tuż obok wyspy biegnie szeroka ciemna smuga otwartej wody. Szedł tamtędy silny prąd do morza — woda nie zamarzała tam nigdy.

W górze na murach fortecznych (cała wyspa była jedną fortecą) widział cesarz w lunecie małe uzbrojone figurki, krążące w koło miarowymi ruchami i w regularnych odstępach, takie jakie obserwował już przez ponad pół wieku. Wyspa była znana jako nie do zdobycia i było wręcz niemożliwością uciec stamtąd.

W otwartym kominku płonął ogień. Cesarz jadł ciastko drożdżowe i zlizywał okruszki z palców. Myśli jego zaprzątnięte były — jak zwykle w tej komnacie i o tej porze dnia — wspomnianiem tego, co zawarł w sobie czas przed pół wiekiem.

Był to pierwszy poranek nowego życia — pierwszy poranek odkąd objął swoją nową godność. Jeszcze błady po wydarzeniach nocy — gdyż stało to się w środku nocy, kiedy stary cesarz wyzionął ostatnie tchnienie i gwardia przyszła po niego, siedemnastolatka, by go obwołać na-

stępcą ojca — jeszcze blady od bezsenności i wzburzenia, siedział w tej samej komnacie, gdzie co dzień rano był przyjmowany i wolno mu było przywitać swoich rodziców: i gdzie często pozwalano mu patrzeć przez lunetę na wyspę majaczącą jak błękitny miraż na falach. Natomiast nigdy nie otrzymał pozwolenia, by tam z nimi się udać. A kiedy teraz, dopiero co okrzyknięty cesarzem, miał zdecydować, co stanie się jego pierwszym aktem sprawowania władzy, nie wahał się długo: wyspa będzie pierwsza.

Zauważył wówczas, że pośród tych, którzy go słuchali, wynikło pewne wahanie, szurali nogami, a ktoś odważył się także nadmienić, że to może jeszcze dużo za wcześnie na rzeczywiste urzędowe działania, Wysoki Zmarły nie był przecież jeszcze nawet pochowany — ciało jego przenoszono zresztą właśnie w tym momencie do katedry, gdzie w pełni widoczny i jak żywy miał spoczywać na lit de parade w jej ciemnym odstrasającym wnętrzu przez wiele dni, kiedy to miało trwać żałobne defilowanie ludności.

Ale siedemnastolatek, który był teraz cesarzem, rzekł tylko chłodno, że ma być tak, jak powiedział.

I zszedł na dół przez wszystkie sale i galerie, wszędzie ludzie bili mu pokłony, gdyż byli wdrożeni w taki system, że kiedy kłaniał się jeden, kłaniał się i drugi, jedno wynikało z drugiego, nie można było nic na to poradzić, stało się to prawem natury. I wraz ze świtą idącą trzy kroki za nim wyszedł na plac zamkowy w bladym wiosennym słońcu, które świeciło na jego białe oblicze — działo się to wszystko wczesną wiosną, i cesarz i jego świta poszli przez plac zamkowy w dół ku nabrzeżu (gwardia przyboczna otaczała ich wędrującym lasem broni) jak zbiorowisko piwnicznych cieni, bardzo rzadko przecież zdarzało się, by cesarz i jego najbliższe otoczenie przebywali poza domem, a i wtedy byli niemal zawsze — szybko, przelotnie jak błyskawica — w drodze od jednego celu do innego, zamknięci w pojazdach, zamknięci w ruchomym ale nieprzenikliwym gęstym murze gwardii przybocznej.

Teraz jednak pokazał swoją białą młodą twarz w peł-

nym świetle słońca, schodząc do królewskiej łodzi, która czekała przy nabrzeżu pod pałacem — wszedł do kajuty, którą jednak opuścił po paru chwilach, wołał otwarty widok i świeże powietrze w ten piękny wiosenny poranek. Albowiem był to piękny ranek, ten jego pierwszy ranek oficjalnego królowania: wyspa majaczyła błękitnie nad niezmaconą jeszcze wiatrem niebieskobiłą powierzchnią morza. Pałac, budynki rządowe, ministerstwa oddalały się i stawały się horyzontem.

Ale przeprawa wymagała przecież czasu.

Słońce wzniosło się na niebie. A blask jego twardniał — białe ale niemy, oslepiający i martwy. W twarzy cesarza oczy były już teraz umęczone i czerwone od wysiłku, od mrużenia dla ochrony przed nieustannie migocącym morzem. Cicho było w łodzi, słychać było tylko szybkie unoszenie się wioseł i zupełnie regularne oddechy wiosłarzy. Wtem padł na nich cień ufortyfikowanej wyspy, wśliznęli się do niezwykle surowo strzeżonego małego portu — co pięć metrów stał nieruchomy po zęby uzbrojony strażnik. Było to dzieło zmarłego, ojca nowego cesarza.

Cesarz mówił odtąd zawsze swoim zaufanym ministrom, że ta wizyta na wyspie, wielka cesarska inspekcja, która była jego pierwszą urzędową czynnością, miała potem decydujące znaczenie dla jego życia — zmieniła ona, ba, ugruntowała jego światopogląd. Od tej pory zrozumiał — mówił do słuchających go w milczeniu ministrów — że istnieje konieczność.

Była to nie kończąca się inspekcja.

Było to jakby wędrowanie po całym świecie — po wnętrzu i bebeczach całego świata.

Młody cesarz zdawał sobie sprawę, że tu tkwiła cała tajemnica władzy zmarłego monarchy — prawdziwa tajemnica jego ojca.

Chwilami jedynie z najwyższym wysiłkiem, z niezwykłym napięciem wszystkiego, czego nauczyło go wychowanie i poczucie obowiązku, mógł utrzymać się na nogach i kontynuować inspekcję.

A kiedy wreszcie — wreszcie! — została dokonana

i stanął znowu na górze w świetle dziennym na stałym gruncie (pokrytym kocimi łbami w dziedzińcu koszarowym, w czystym, wiosennym blasku słońca), nie mógł wprost wyjść ze zdziwienia, jak niepozornie wyglądały od zewnątrz budynki i fortyfikacje, które właśnie przewędrował. Jak wydały się zwykle i jak gdyby niegroźne. Właściwie jak jakieś budynki szkolne. Ani spojenia murów, ani osadzenie okien nie wyrażało niczego niezwykłego. Ani też na dole — nawet w chodnikach i galeriach, zbudowanych na poziomie wody, tak że w razie wiatru woda wpadała do nich i wypływała z nich. Niezwykły był materiał ludzki i jego zachowanie się. Ale tu na górze, w wiosennym świetle, nie było już nic słychać, było tak migotliwie cicho: w morskiej bryzie wszystkim, co pozostało z dźwięku, był perlisty szmer małych fal w dole u podnóża skał. Na górze, na dziedzińcu, było nad wyraz spokojnie, a w powietrzu czuło się tak świeży zapach soli; wartownicy — nowa zmiana po południowym posiłku — stali syci na swoich posterunkach.

Jeśli tylko nagli konieczność i istnieje zdolność odczuwania, jakże małych środków trzeba wówczas dla całkowitego maskowania: jakżeż małymi środkami daje się zmieniać rzeczywistość.

Cesarz z ulgą zrobił kilka kroków w przód i wciągnął głęboko świeże morskie powietrze — wtem zobaczył na dziedzińcu pod ścianą koszar kilkoro bawiących się dzieci. Było to dość daleko. Ale cesarz skierował swe kroki w tamtą stronę. Skinieniem ręki powstrzymał sztab, który chciał go wyprzedzić i sam przeszedł ostatnie metry dzielące go od dzieci. Zerkały i patrzyły, jak się zbliża, siedemnastolatek w dość gładkim mundurze bez szczególnych oznak, prócz tego, że był otoczony i jakby odziany w ową pustkę władzy, która wytworzyła się między nim i wspólnie umundurowaną grupą sztabowców, gdy go usłuchali.

Dzieci nie podnosiły oczu w górę, wpatrywały się w bruk, nie wiedziały, co z sobą począć, nie śmiały zmienić pozycji. Były to dzieci-więźniowie: dzieci urodzone w więzieniu.

Król stanął, by na nie popatrzeć.

Wtedy podniosło się jedno z nich, może dziesięcioletni chłopiec, bardzo rozczochrany i brudny, i zbliżył się o krok do cesarza, by móc lepiej przyjrzeć się obcemu. Cesarz zmierzył się z nim wzrokiem i cofnął się szybko w tył: był to skrzący się wzrok kogoś, kto też zrodzony był w niewoli.

Cesarz nakazał szybki powrót. I znów Łódź mknęła bezgłośnie na falach. Wnet pojawiły się znowu pałac i budynki rządowe. Były niezmienione i takie miały pozostać przez czas cesarza.

Od tej pory minęło już, jak wspomniano, ponad pół wieku. Cesarz zestarzał się, jego miara miała się niebawem dopełnić. Wydawało się też, jakby ostatnio władza wymykała mu się z rąk, podejmował jeden akt rządowy za drugim, całe ogromne państwo jęczało i biadało od krańca do krańca — a mimo to on miał wrażenie, jak gdyby wszystkie zarządzenia trafiały w pustkę, jak gdyby w rzeczywistości to inni, w ukryciu, działali za niego.

Tego ranka, kiedy niezmiennie klarowny mróz od tygodni już trzymał stolicę pod swoim żelaznym berłem, cesarz postanowił odbyć nową wizytę na wyspie.

Było to inne i bardziej mozolne przedsięwzięcie niż owa pierwsza inspekcja, która miała miejsce w czystym wprawdzie, ale mimo to łagodniej rozbłyskującym wiosennym świetle. Teraz wszystko było nieruchome i bezlitosne: jazda saniami po lodowej równinie, która nie była wcale równiną, tylko stłoczonym i spiętrzonej lodowym krajobrazem, tak że w końcu cesarz musiał opuścić sanie i wsiąść na konia, konie ostro podkute posuwały się naprzód metr po metr — dokuczliwy chłód stał nad nimi nieruchomo jasny i straszliwy. Cesarz, starzec, był jak odlany posąg w swoim eleganckim, nieubłaganie obcisłym mundurze: białe obwisłe starcze oblicze zwisało fałdami nad stojącym kołnierzem. Przed nimi, ale jeszcze bardzo daleko, błyszczała niebieskoczarno otwarta woda wokół wyspy. Cesarz poczuł, że opuszczają go siły: ale całe życie

podtrzymywane przymusem, by nie odsłonić swego prawdziwego oblicza, dawało teraz owoce: choć z zupełnie sztywną i nieruchomą twarzą — z twarzą, która w gruncie rzeczy była krzykiem — trzymał się prosto na koniu, aż do chwili, kiedy wreszcie dotarli tam, gdzie usłyszeli strumień otwartej wody bijący z szumem o skraj lodu. Czekala tam już łódź z wyspy. Cesarz chętnie by nakazał rozpalic ognisko, ale wola, by się nie zdemaskować, była silniejsza. Przemarznięty i odrętwiały na ciele i duszy, mając niewiele więcej czucia niż jakaś lalka — tak, lalka, która sztywno maszerowała bez końca w królestwie cieni — wysiadł na ląd na ufortyfikowanej wyspie na ostatnią inspekcję.

Wyspa zbudowana była z lodu, czarnych murów i krwi.

Dziwne było, że te masy żywych jeszcze ciał, które przez następne godziny oglądał, kiedy przechodziły przed jego oczyma, miały twarze. Niektórzy byli bardzo starzy, może starsi niż on sam. Jasno skrzący się blask lodu zdawał się wypełniać twarze i ciała, i wchodzić w same mury i najgłębiej skryte korytarze kazamat, aż do dna, aż do każdego zakamarka. Mimo to twarze te patrzyły nad swymi kołnierzami ze skuwających je łańcuchów jakby mimo niego. Nic nie miało już dla nich znaczenia. On, cesarz, nie znaczył dla nich nic, jego czas przeminął.

W ostatniej celi — miała ona światło z pułapu, prosto z morza, z wąskiego okienka akurat na poziomie wody, tak że refleksy otwartej wody wznosiły się i opadały na skalnych ścianach (cele te były wykute wprost w skale) — siedziała kobieta, która była brzemienna. Nie poruszyła się, kiedy strażnik otwierał zamek, nie wstała. Panował tam niesłychany chłód. I wtedy cesarz zobaczył, jak jej otulony w więzienny strój olbrzymi brzuch unosi się i porusza, coś w nim się ruszało i drgało, i trzęsło się. Cesarz wyszedł na dwór, był starym człowiekiem i czuł się zmęczony wysiłkami inspekcji, dla jego oczu był to już — nie bacząc na jasny, olśniewający dzień — coraz bardziej zmierzch, widział tylko obce, mętne postaci, splecione, skute cienie, był już teraz tak daleko od wszelkiego

odczuwania. Powrotna droga była ponura, niemal nie do wytrzymania — najcięższa do wytrzymania, bardziej niż fizyczne trudy, była świadomość, że wielkie, wyczerpujące przedsięwzięcie nie miało sensu.

W kilka dni później oddział gwardii przybocznej grał w karty w krużgankach pałacu, czekając na zmianę warty. Było to o północy, w granatową noc, i na stole między graczami stała lampa. Nagle któryś uderzył kartą w stół. Wówczas lampa zgasła. Rozległ się huk. Wszystko runęło i zawaliło się. Królestwo uległo zagładzie. Okaleczony trup cesarza pływał w kanale. Z ciemności wyszła nie dająca się rozpoznać istota. Było to dziecko urodzone w niewoli.

Przełożył *Zygmunt Łanowski*